№ 31.

Warszawa dnia 21 Lipca / 3 Sierpnia R. 1867

TYGODNIK MÓD I NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

ROGER BAKON

JEGO GENJUSZ I UWAGI NAD POSTĘPEM LUDZKOŚCI.

(Dokończenie).

Na szczęście to błąkanie się myśli po znanych już dawniéj drogach, jest tylko pozorne. Człowiek nie żyje samem tylko ciałem ale i duszą, wynalazki, odkrycia, zdobycze naukowe o tyle tylko stanowią postęp, o ile się upowszechniły i przyniosły pożytku. Cóż z tego że o druku i parze, tych najpotężniejszych mocach postępu ludzkiego, znajdujem wzmianki w najgłębszéj starożytności, jeżeli one były tylko własnością kilku myślicieli? Cóż świat skorzystał na tem, jakie dobro spłynęło na jego rozwój społeczny? Chiny są matką wszystkich wynalazków, a jednak tylko barbarją nazwać je możemy, gdy Europa tak je znacznie wyprzedziła.

Duch ludzki z tchnienia Bożego biorący początek, o tyle posługuje się tajemnicami natury, o ile uczuwa tego potrzebę. Bierze więc je tylko w tenczas i wprowadza w powszechne użycie, gdy środki przez niego używane do swego rozwoju, okażą się niedostatecznemi, gdy posługę swoją do dna wyczerpały. Druk spoczywał w ukryciu, bo wędrujące społeczności zajęte krwawemi o miejsce zapasami, nie ubiegały się za nauką, ala za wygodnem osiedleniem. Gdy to ustalonem zostało, naprzód ożyło uczucie religijne, i ludzkość dla roztrząśnienia swego sumienia, przywołała druk w pomoc, aby całem zbiorem swych jednostek, rozpatrzyć się w téj nażywotniejszéj dla siebie kwestji. Oświata więc szerząc się olbrzymim krokiem, z warstw wyższych spłynęła do naj iższych, i zrodziła się myśl braterstwa, myśl połączenia się w jedną rodzinę, któréj para stała się głównym pośrednikiem.

Na wiele wieków przed Chrystusem, znajdują się ślady znajomości siły ściśnionego powietrza, a jednak dopiero w naszych już czasach, użyto go do przebijania tunelu przez Alpy, bo zniszczenie przeszkody dzielącéj dwa ludy między sobą, teraz dopiero stało się konieczną potrzebą. Dawniejsza droga była już za długą, a że skrócenie jéj tylko przy pomocy ściśnionego powietrza mogło być dokonane, więc siłę tę podjęto, zaprzągnięto do pracy, i tym sposobem rzucono ją na korzyść świata całego, z czego nie ma wątpliwości że pożytkować nie zaniedba.

Postępu więc nie należy szukać w zdobyczach ścisłéj nauki, ale w rozwoju ducha ludzkiego, który śledzony i badany, znaczy widocznie drogę którą się posuwa. Nienawiści plemienne i religijne coraz więcéj giną i zacierają się, a słowo Chrystusa pielęgnowane dotąd w pojedynczych sercach, szerzy swą władzę i coraz silniéj występuje do walki ze złem, nurtującem ludzkość od wieków. Zwycięztwo téj Boskiéj nauki, ożywienie jéj czynem ogółu, spotężnienie duchem, a ukorzenie ciała i poddanie go pod władzę rozumu, opartego na miłości, oto cel do którego ludzkość dąży, i praca jedyna jakiéj się tak gorliwie poświęca.

Gdy jednak ubiegło tysiące lat zanim z serca ludzkiego wypłynęło słowo ewangeliczne, ileż lat potrzeba aby słowo to owładnęło całym światem, poruszało wszystkiemi jego sprawami, i ludzi zmieniło w braci, w prawdziwych synów Bożych?

Może czas ten już nadchodzi a może dopiero jesteśmy w przedsionku tego wspaniałego gmachu, spojonego cementem braterstwa? — Może drugich dwa tysiące lat potrzeba, aby się ludzkość na szczyt jego dostała?

Cóż będzie daléj? Czy obmyśli skrzydła aby na nich wzlecić po nad słońca i gwiazdy?

Dla czegóżby nie? Ale będzie to już wędrówka nie ciała ale ducha, spotęgowanie myśli i przewaga jéj zupełna nad materją. Duch ludzki zkąd wyszedł tam dąży, tęsknota nas trapiąca jest objawem téj jego dążności, a przymusowa ziemska pielgrzymka nieszczęściem, jakiemu ulegając, ludzkość od wieków pracuje aby się z niego wydobyć.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

ZULIMA. Trucizną obrzydliwą tryska każde twoje słowo. Ale, mylisz się duszo zawzięta! mylisz się w nędznych domysłach! Ramiro nie wzdycha za kochanką. Ramiro nie zaznał miłości w swoim kraju. Ta pierś podniosła, nie ugięłaby się pod ciężarem pospolitéj miłości — tem mniéj pod urokiem chrześcianki. Tylko żar Afryki, namiętność gorąca jak słońce co przepala skórę na węgiel, zdołałaby go rozognić. Ramiro jest mężem znamienitego szczepu; dowodzi tego klejnot, który dostrzegłam na jego piersi. Jestem pewna, że jeżeli mi kto odczyta to płótno, któreśmy znaleźli zapisane krwią jego, lub jeżeli zechce wyjawić dobrowolnie pochodzenie swoje, usłyszymy jedno z najsłynniejszych nazwisk Hiszpanji. Albożto niektórzy z jeńców pojmanych przez Jakóba w bitwie pod Aharos nie poumierali z rozpaczy? Nie zabiłaż ich duma? Czy sądzisz, że Ramiro mniéj jest dumnym? I, dla czego miałżeby on właśnie mieć kochankę? Biada, biada mu naówczas!.. Biada i mnie saméj! Gdyby tyle katuszy, tyle wytężeń celem odzyskania swobody, tyle obojętności względem mnie, miały pochodzić z miłości dla jakiejś tam chrześcianki..... Nie! to być nie może.. Ramiro! Ramiro! ocuć się, uspokój moją obawę. Powiedz mi!... Jeżeli już nie zechcesz mnie pokochać, to zaprzysiąż mi, że niekochałeś nigdy!

ADEL. Pragnę, by się inaczéj stało.

ZULIMA. Nieznasz go. Skoro raz pokocha, to miłość ta wypełni całe życie jego.

(Otwiera szafę, i szuka czegoś na pułkach.)

ADEL. Sułtanko... on milczy upornie. To nic dobrego.

ZULIMA. Zdawało mi się, że mam tu napój mogący przywrócić mu przytomność — poszukam czemprędzéj. (wychodzi).

Scena 2.

ADEL (sam). Sułtanka zajęła się na dobre tym więźniem. Niewolnik dowie się że jéj winien życie i choćby przez wdzięczność samą, ulegnie jéj pieszczotom. Dla tych ludzi, są wszelkie rozkosze na usługi, a w godzinie kary, spadnie to wszystko na moją głowę. Jakżeto ciężko, dla cudzéj rozrywki dążyć ku przepaści z oczyma zamkniętemi. Kobieta, jakżeż ułomną jest istotą. Ta Zulima olśniona nazwą monarchini, nie przypuszcza, ażeby znalazł się któśkolwiek szpiegujący niewidzialnie jéj kroki, tłumaczący jéj wyrazy, aż do gestów najdrobniejszych. Czyliżby Emir przez łaskę osobliwszą, pozostawił ją wolną od szpiegowstwa jego zauszników afrykańskich? (otwiera małe drzwiczki na lewo i spostrzega Zeangira), Widzę, że nie.

Scena 3.

ZEANGIR — ADEL.

ZEANGIR. Podsłuchałem cię.

ADEL. Słyszałeś nas panie?

ZEANGIR. Wszystko.

ADEL. I cóż...?

ZEANGIR. Nie trwóż się. Nic tak złego..

(Zwraca się ku szafie — szuka w niéj czegoś, i nieznajduje. Zbliża się do łóżka, na którym leży Ramiro, podnosi płótno jakieś, krwią zapisane — czyta z podziwieniem).

Ach! — cóż odkryłem!

ADEL. (na stronie). Będziemy palić na stosie. (Głośno). Powiedz mi przynajmniéj, co tam napisał ten niewierny? Pragnąłbym wiedzieć, co donosi o sobie? Jest tu ktoś, co go uważa za księcia, ja zaś widzę w nim dzielnego rycerza. Rozrywa najsilniejsze kajdany, wdrapuje się na więzienne mury — i ani razu jeszcze nie przyszło mu na myśl traktować o wykup za przyzwoitą opłatą. Wnoszę ztąd, że zasobniejszy jest w siły, niż w złoto. Treść tego pisma nie wymaga zapewne tajemnicy; w każdym razie jestem dozorcą, widziałem wielu umierających z powodu że milczeć nie mogli — jestem przekonany o korzyści z pozostania niemową.

ZEANGIR. Tak jest — obowiązkiem twoim milczeć, nadewszystko przed Zulimą. (Składa napowrót płótno na łożu, zwracając się ku drzwiom, któremi wszedł).

ADEL. Mogę tedy uważać się za uwolnionego od posłuszeństwa względem Sułtanki?

ZEANGIR. Dziś rano ustanie ten obowiązek.

ADEL. A teraz...

ZEANGIR. Możesz jéj służyć. Zapomnij, żeś mnie widział. Czuwaj nad życiem tego chrześcianina. (Wychodzi).

ADEL. Czuwać nad nim! Więcéj też nie żądała i Zulima. Niech wbiją mnie na pal, jeżeli cośkolwiek pojmuję. Szczęściem dla mnie, że aby być posłusznym, nie potrzeba koniecznie być wtajemniczonym. Niechaj spełni się jak zapisano w księdze!

(d. c. n.).

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Lekki rumieniec przebiegł lica Camors'a. Zbytek dobroci odrzekł po chwili.

I kilka kroków szli w milczeniu ulicą okalającą kląb zielonéj murawy, nareszcie Lescande zapytał.

— A ty, kochany przyjacielu, musisz być szczęśliwy, bardzo szczęśliwy?

— Ja, mój drogi, zapytał Camors z zadziwieniem... moje szczęście jest bardzo proste i bez chmurki. Wstaję zazwyczaj dość rano, jadę do lasku, potem do klubu... i znów do lasku i znowu wracam do klubu... Jeśli wieczorem jest gdzie jakie pierwsze przedstawienie, biegnę tam zaraz.. I tak, wczoraj wieczór grano nową sztukę, doprawdy zachwycającą... jest tam śpiewka zaczynająca się od słów:

Był sobie dzięcioł
Mały dzięcioł
Młody dzięcioł...

I za każdą zwrotką naśladuje się krzyk dzięcioła..., A to prześliczne... z jakąż to rozkoszą cały Paryż przez jaki rok powtarzać będzie tę piosnkę.... Będę naśladować Paryż i będę szczęśliwy...

— A.. jeśli ci to wystarcza do szczęścia... rzekł wesoło Lescande...

— Tak, odrzekł Camors zapalając nowe cygaro.

Rozmowę dwóch przyjaciół przerwał dźwięczny głos kobiecy, odzywający się po za żaluzjami okien balkonu: Czy jesteś tu Teodorze?

— Camors podniósł oczy i ujrzał małą białą rączkę, przeglądającą wśród szczebli żaluzi.

— To moja żona, rzekł żywo Lescande, schowaj się prędko, i popchnąwszy go za krzak kapryfolium, odpowiedział wesoło, z figlarno-złośliwym uśmiechem: Jestem, kochanie, o co chodzi?

— Czy Maxym jest z tobą,

— Tak, patrzaj.

— Dzień dobry mamie, wołał chłopczyna.

— Czy piękny dziś dzień? zapytał znowu głos z okna.

— Bardzo piękny... A ty jakże się masz?

— Nie wiem... zdaje mi się że za mocno spałam.

Podniosła żaluzje, otworzyła okno i zasłaniając ręką oczy olśnione blaskiem słonecznym, wyszła na balkon. Była to kobieta w kwiecie pierwszéj młodości, kibić wysmukła, wiotka, pełna wdzięku; w lekkim, powiewnym długim puszczanym negliżu błękitnym, wydawała się wyższą niż była rzeczywiście. Negliżyk z błękitnemi węzłami, zarzucony na ciemnych nieco bezładnie rozrzuconych włosach, ślicznie odbijał od delikatnéj białéj twarzyczki. Oparła się o poręcz balkonu, ziewnęła pokazując drobne białe ząbki i spoglądając na męża, spytała: Czemu masz tak śmieszną minę?

W téjże chwili postrzegła Camor'a, który zaciekawiony wychylił się z po za ukrywającego go krzaku: zarumieniła się, krzyknęła i co prędzéj uciekła z balkonu.

Począwszy od szkół aż do téj chwili, Ludwik de Camors nie wielkie miał wyobrażenie o téj Julji któréj Rome'em był stary Lescande; teraz z miłem zadziwieniem postrzegł, że pod tym względem przyjaciel jego był szczęśliwszym niż myślał.

— O! dopieroż będę łajany, rzekł Lescande śmiejąc się serdecznie, ale i tobie się dostanie, drogi przyjacielu, bo zostaniesz z nami na śniadanie, nieprawdaż?

Camors zawachał się chwilę, potem odpowiedział prędko: Nie... wybacz mi przyjacielu... nie mogę... zapomniałem że oczekują na mnie...

Chciał odjechać zaraz, ale Lescande nie puścił go dopókąd nie przyrzekł że w następny wtorek przyjdzie do niego na obiad, i pozwoli przedstawić się żonie jego i jéj matce, pani de Mursois.

To zaproszenie, od którego nie mógł się jakoś wymówić, zakłóciło trochę spokój umysłu Camor'a, aż do nadejścia dnia oznaczonego; raz dla tego że nie lubił familijnych objadów, a powtóre że częściéj niżby chciał tego stała mu w myśli scena na balkonie. Poczciwa ufność Lescand'a gniewała go i wzruszała zarazem; przeczuwał że przyjdzie mu nędzną odgrywać rolę w obec téj kobiety, którą wspomnienie lat młodzieńczych i poczucie honoru czyniły dlań świętą— a którą wystawiał już sobie powabną i zalotną; i z tego powodu wcale w nieszczególnym był humorze, kiedy wieczorem we wtorek wysiadał z powozu, przed kratą ładnéj willi przy ulicy Maillot.

Przyjęcie jakiego doznał od pani Lescande i jéj matki rozjaśniło zasępione jego czoło; od pierwszego wejrzenia wydały mu się czem były w istocie, osobami z wyższem wychowaniem i znalezieniem. Pani de Mursois była kiedyś bardzo piękna, młodo została wdową a jednak żadna skaza nie ciążyła na jéj życiu; nie tyle jeszcze może głębokie gruntowne zasady, tak rzadkie w dzisiejszym wieku, ile raczéj wrodzona zacność i delikatność, broniły ją od upadku. Zarówno jak wiele kobiet światowych i ona umiłowała cnotę jak gronostaj białość; występek raził ją mniéj może jako złe ile raczéj jako brud; córka odziedziczyła po niéj szlachetne instynkta czystości i wrodzonéj wytwornéj elegancyi, które częściéj niżby się zdawało, kryją się pod lekkim pozorem światowym.

Jednak obie te zacne i miłe kobiety, nie były wolne od pewnego usterku, właściwego zresztą wielu paryżankom ich stanu; mimo całéj wyższości umysłu, otaczały jakąś jakby czcią i mieszczańskiem uwielbieniem, tę mniéj więcéj prawdziwą arystokrację, którą podziwiały z kolei na polach elizejskich, w teatrach, na wyścigach i u sławnych wód, roztaczającą swą zafrasowaną lekkomyślność i współzawodną próżność; daléj znowu mimo swéj zacności, uganiały się chciwie za poznaniem wszelkich choćby najdwuznaczniejszych i najskandaliczniejszych przygód, jakie tylko mogły się zdarzyć w téj sferze wybranéj. Uważałyto sobie za najwyższe szczęście i chwałę, znać drobiazgowo najmniejsze szczegóły życia wielkiego świata paryzkiego, mówić jego językiem, wiedzieć o każdym raucie, wieczorze lub balu, naśladować toalety, rozpoznawać liberye.

Tym sposobem, nie będąc różą, wzrastały obok niéj, przesiąkały jéj wonią i odbijały barwę, a podobna zażyłość podwyższała je nieskończenie, tak w szacunku własnym, jak w opinji znajomych.

Jakkolwiek w owym czasie, Camors nie piastował jeszcze w olimpie mody tego pierwszorzędnego stanowiska jakie miał zająć kiedyś, jednak zawsze uchodził już za pół-bożka i z tego tytułu budził najwyższą ciekawość pani Lescande i jéj matki, podwyższoną jeszcze znajomością ścisłych stosunków, jakie dawniéj łączyły go z Lescand'em. Znały nazwiska jego wyścigowych koni, wiedziały może nazwiska jego kochanek. Musiały użyć całéj mocy jaką miały nad sobą, aby nie okazać gościowi silnego podrażnienia nerwów, spowodowanego prześwietną jego obecnością, i udało im się tak dobrze że aż Camors został nieco doknięty. Nie był próżnym zarozumialcem, ale był młody i zepsuty powodzeniem, wiedział że podoba się wszędzie. Nie tajno mu było, że nie dawno temu, księżna Clam-Goritz zastosowała do niego swe określenie powabnego człowieka, „jest powabnym, bo obok niego czujesz się w niebezpieczeństwie“ i dla tego wydawało mu się czemś anormalnem, żeby jedna teścia i żona takiego Lescand'a, poglądały z tak spokojną obojętnością na opromieniającą go aureolę. Z tego powodu zmienił postępowanie: stał się powabnym, ujmującym, pragnącym się podobać, nie pani Lescande, którą przysiągł sobie szanować jako żonę dawnego przyjaciela, ale pani de Mursois; i cały wieczór roztaczał przed matką jakiś nieprzeparty urok, który zachwycał córkę. Poczciwy Lescande spoglądał na wszystko wzrokiem iskrzącym radością, i cieszył się serdecznie powodzeniem przyjaciela.

Nazajutrz po południu, Camors wracając z swéj zwykłéj po lasku przejażdżki, skręcił w ulicę Mailot; przypadek zdarzył że pani Lescande siedziała właśnie na balkonie z krzyżową robotą w ręku, i odkłoniła mu się uprzejmie. Zauważył że kłaniała się z jakimś arystokratycznym, odznaczającym się wdziękiem.

Kiedy w parę dni późniéj, Camors przyszedł złożyć pani Lescandes należną wizytę, skutkiem głębokiego namysłu zmienił całkiem obejście; był zimny i obojętny i nie mówił o niczem jak tylko o cnotach i zaletach jéj męża. Był to pomysł jak najnietrafniejszy; i pani Lescande zastanawiała się także nad sobą; śmiałe nadskakiwanie i grzeczności byłyby ją zmięszały i przeraziły wrodzoną jéj uczciwość, teraz przeciwnie, sądząc że niema czego się lękać, uspokoiła się i z ufnością napawała rozkoszą przyjmowania w swoim salonie i pokazania znajomym, jednéj z najświetniejszych gwiazd nieba swoich marzeń.

Było to w miesiącu maju, w następną niedzielę odbywały się wyścigi w la Marche, gdzie Camors miał ścigać się osobiście. Pani Mursois z córką namówiły Lescand'a aby je tam zawiózł.

Camors zmienił w rzeczywistość ich najskrytsze marzenia, wprowadzając je do galeryi przeznaczonéj dla pierwszych znakomitości klubu i arystokracji, i oprowadzając przed trybunami. Podał rękę pani Mursois, która pierwszy raz w życiu dostępując zaszczytu przechadzania się publicznie, oparta na ramieniu hrabiego przybranego w pomarańczową kurtkę i długie wywinięte buty, rozpływała się z radości. Lescande z żoną szli za niemi i także byli w siódmem niebie.

Miłe te stosunki trwały niezmiennie przez kilka tygodni. Pewnego wieczoru Camors usiadł przy tych paniach przed pałacem wystawy, i wymieniał im nazwiska i stosunki przechodzących przed nimi znakomitości; inną znowu razą wszedł do ich loży, pozostawał tam czas jakiś, i objaśniał nie dość dokładne ich wiadomości o obyczajach i intrygach chórów baletu. We wszystkich tych spotkaniach, Camors przybierał względem pani Lescande ton i obejście poczciwéj braterskiéj zażyłości, może dla tego że trwał szczerze w swem zaszczytnem postanowieniu, a może i z tego powodu iż wiedział dobrze, że jak to mówią każda droga prowadzi do Rzymu, i obrana przez niego nie gorsza od innéj. Pani Lescande była coraz spokojniejszą i pewniejszą siebie, i widząc że nie potrzebuje myśleć o obronie, pozwalała sobie czasami wystąpić nieco zaczepnie. Zazwyczaj nie bardzo to pochlebia kobietom gdy są kochane jak siostry. Camors nieco zaniepokojony takim obrotem rzeczy, usiłował wprawdzie bieg ich powstrzymać; ale fechmistrze biegli w szermowaniu, daremnie postanawiają oszczędzać przeciwnika, wkrótce wiedzeni nawyknieniem, mimowolnie odpierają ciosy. Co więcéj, żywo zajął się panią Lescande, podobną nieco do młodéj kotki zarazem filuternéj i naiwnéj, ciekawéj i przerażonéj, lękliwéj i wyzywającéj, jednem słowem powabną nad wszelki wyraz.

Tego właśnie wieczora kiedy pan de Camors ojciec wracał do domu z postanowieniem odebrania sobie życia, syn jego przejeżdżający ulicą Maillot, został zatrzymany przez Lescand'a, stojącego przed kratą swéj willi. Co za szczęśliwy wypadek cię tu sprowadza; rzekł on—możesz mi oddać wielką przysługę. Wystaw sobie, mój drogi, odebrałem przed chwilą depeszę telegraficzną wzywającą mnie do Melun; muszę jechać natychmiast. Bądź tak dobry i zostań na obiedzie z memi paniami; żal mi zostawiać je tak same; tem bardziéj że jakoś dziwnie dziś smutne i nie swoje. Nie pojmuję co się stało mojéj żonie, cały dzień wczoraj płakała, matka znowu cierpi na migrenę. Twoja obecność rozerwie je i rozweseli; nie odmawiaj mi, mój drogi.

Z początku Camors wymawiał się trochę, w końcu jednak przystał i odesłał konia. Lescande wprowadził przyjaciela do salonu i wkrótce obecność je-

go oddziałała szczęśliwie na obie kobiety; niezadługo wsiadł do powozu i odjechał, czuléj i serdeczniéj niż zwykle pożegnany przez żonę.

Obiad przeszedł wesoło. W powietrzu dawał się uczuć jakby jakiś odór prochu i niebezpieczeństwa, którego pobudzający wpływ oddziaływał tajemnie na panią Lescande i Camora. Dotąd jeszcze niewinnie podrażnieni, dziwną znajdowali rozkosz w tych wesołych atakach i podjazdach, w świetnych utarczkach po za barjerowych, zazwyczaj straszne poprzedzających starcia.

Około dziewiątéj wieczorem, migrena dokuczająca pani Mursois, powiększyła się jeszcze, może dzięki woni, cygara które Camors'owi pozwolono zapalić. Czując się coraz mocniéj cierpiącą, zmuszoną była udać się na spoczynek. Camors chciał odejść, ale powóz jego jeszcze nie nadszedł, i pani Mursois prosiła nagląco aby nań zaczekał: Zatrzymaj się pan chwilkę mówiła, tymczasem Julja zagra co na fortepianie.

Zostawszy sama z swoim gościem, młoda kobieta siadła zaraz do fortepianu: Co mam panu zagrać, spytała jakimś niepewnym głosem?

— Wszystko jedno... może walca.

Po skończeniu walca nastąpiła chwila milczenia, aby je przerwać Julja wstała, i lekko zacierając ręce, rzekła pomięszana: Zdaje mi się że będzie burza. Jak pan sądzisz? Zbliżyła się do okna i wyszła na balkon, Camors poszedł za nią. Niebo czystym jaśniało błękitem; opodal przed nimi widniał czarny brzeg lasu; na murawie łamały się blade promienie księżyca. Ich spuszczone ręce spotkały się z sobą i chwilę pozostały złączone.

— Juljo! rzekł młody człowiek wzruszonym i przytłumionym głosem.

— Kobieta drgnęła, odepchnęła jego rękę i wróciła do salonu. Odejdź pan, proszę na wszystko, wyszeptała, i prędko usiadła na kozetce, nakazująco rękę wyciągając ku drzwiom. Camors nie usłuchał i pozostał.

Dziwna zaiste jak niepojęcie nagłym bywa często upadek kobiet uczciwych! W kilka chwil późniéj, pani Lescande, oprzytomniona z rozkosznego upojenia, widziała się zgubioną.

Bolesne to było przebudzenie! Jednym rzutem oka zgłębiła bezdenną przepaść w jaką wpadła tak nagle; mąż, matka, dziecię, wirowali w jéj umyśle jak przerażające widma, kilkakrotnie posunęła ręką po czole, mówiąc: O Boże mój! Boże... Potem nagle wstała, spojrzała w około jakby upatrując światełka, nadziei, ucieczki... Nic i nic... Wtedy to pojmując straszną niezwrotność przygniatającego ją nieszczęścia, z całą siłą zbolałéj duszy zwróciła się do ukochanego, i wlepiając w niego załzawione oczy, wyjąkała: Jakże musisz mną pogardzać!..

Camors na wpół klęczący na dywanie, ruszył lekko ramionami na znak zaprzeczenia, i z roztargnioną grzecznością pocałował ją w rękę.

— Odpowiedz mi, powtórzyła młoda kobieta błagalnym głosem.

Dziwny, okrutny uśmiech przebiegł po jego ustach:

— Nie nalegaj, proszę cię, odpowiedział.

— Czemu?.. a więc to prawda... pogardzasz mną?..

Wyprostował się nagle, i stanąwszy przed nią rzekł patrząc jéj śmiało w oczy:— A naturalnie...

Młoda kobieta nie odpowiedziała na te straszne wyrazy; na ustach jéj skonał dziki krzyk niewysłowionéj boleści, a oczy otworzyły się bezmiernie, jakby rozszerzone działaniem nadzwyczaj silnéj trucizny.

Camors przeszedł po salonie i znowu stanął przed nią: Znajdujesz mnie pani, niecnym! ohydnym, i tak jest w istocie; — ale mniejsza o to, nie o mnie chodzi. Wyrządziłem ci wiele złego, ale stało się; — jest jednak jeszcze jedna, jedyna przysługa jaką oddać ci mogę, i nie wacham się, nie będę ukrywał prawdy. Wiedz pani o tem, że nikt nie jest surowszym sędzią upadłéj kobiety, jak jéj wspólnik. Co do mnie... cóż mogę myśleć o tobie?.. Męża pani znam od lat dziecinnych... na jego nieszczęście... a moją hańbę!.. W żyłach jego nie ma ani kropelki krwi która nie tchnęłaby nieograniczonem zaparciem siebie i poświęceniem dla pani... dla kogóż to całe dnie pracował niezmordowanie, tyle bezsennych spędza nocy... dla pani, wszystko dla pani!... dobrobyt który cię otacza, to owoc jego ofiar i poświęceń.. zabawy i przyjemności jakich używasz, to wynik jego trudów, zabiegów i zaparcia siebie... Oto czem jest Lescande dla pani!.. A ja!.. wyczytałaś pani kilkakrotnie nazwisko moje w dziennikach, widziałaś mnie konno przejeżdżającego pod twemi oknami.. ot i wszystko... i było to dostatecznem... i poświęcasz mi w jednéj chwili całe swoje i jego życie, całe jego i swoje szczęście i honor. O! bądź pani przekonaną, iż jeśli kiedykolwiek podobny mnie próżniak i libertyn, równie jak ja nadużyje twéj próżności i słabości, i potem powie że cię szanuję, skłamie nikczemnie... a jeśli myślisz że przynajmniéj kochać cię będzie, to bardzo, bardzo się mylisz... Prędko bardzo znienawidzamy stosunki które wytwarzają nam obowiązki, tam gdzie szukamy jedynie rozkoszy... zaledwie się zawiążą, a już o tem jedynie myślemy jakby je zerwać co prędzéj!.. A z resztą mamże powiedzić wszystko?.. Takie jak pani kobiety niestworzone do naszych łatwych, niecnych miłostek... waszym wdziękiem skromność i cnota, tracąc je wszelki utracacie powab... O! nie wstępujcie na drogę kobiet pół-świata, bo nigdy nie potraficie im dorównać... Całe jeszcze szczęście podobnéj kobiety, jeśli pierwszy błąd popełnia z równym mnie nędznikiem, który jednak ma odwagę powiedzieć jéj prawdę... A teraz żegnam panią... staraj się zapomnieć o mnie... Szybkim krokiem przebiegł salon i wyszedł.

Pani Lescande słuchała go nieruchoma, blada jak posąg z białego marmuru; gdy wyszedł nie zmieniła téj jakby pośmiertnéj postawy i siedziała z okiem osłupiałem, opuszczonemi rękami, jakby pragnąc aby śmierć mogła się omylić i pochwycić ją jak swą ofiarę. Po kilku chwilach obił się o jéj uszy jakiś szczególny odgłos, jakby wychodzący z przyległego pokoju; powiedziałbyś konwulsyjne drganie gwałtownego i zarazem przytłumionego śmiechu. Wyobraźnia nieszczęśliwéj kobiety roiła tłumnie najdziwaczniejsze, najstraszniejsze obrazy; głównie opano-

wała ją myśl że mąż jéj powrócił tajemnie, że wie o wszystkiem, a usłyszany śmiech był śmiechem szalonego. Nieprzytomna, obłąkana, zerwała się z kozetki, pobiegła do drzwi, otworzyła je i weszła do sali jadalnéj słabo oświeconéj zawieszoną lampą; tu postrzegła Camors'a tarzającego się po posadzce, łkającego głośno i bijącego czołem o poręcz krzesła, które jakimś rozpaczny objął uściskiem.

Nie miała siły przemówić doń słowa; usiadła, załamała ręce, i teraz dopiero łzy rzęsiste popłynęły z jéj oczu. Przyczołgał się do niéj, pochwycił brzeg sukni okrywając go pocałunkami, i gdy wzburzone piersi i drżące usta dozwoliły mu wyszeptać słowo: Oh! przebacz mi! przebacz! przebacz!.. zawołał; poczem powstał, oburącz chwycił się za głowę, wybiegł z pokoju, i niebawem usłyszała turkot odjeżdżającego powozu.

Gdyby dość było nie mieć zasad aby tem samem być wolnym od wyrzutów sumienia, ileż to ludzi, tak mężczyzn jak kobiet, byliby daleko szczęśliwsi niźli są dzisiaj: ale skutkiem jakiejś nieszczęsnéj, dziwnéj sprzeczności, codziennie się zdarza, że tak kobiety, którym nie wpojono gruntownych zasad religji i moralności, jak pani Lescande, jakoteż mężczyźni, którzy jak pan de Camors, żadnéj nie mają wiary i w nic a nic nie wierzą, nie mogą przecie pozwolić sobie jakiegoś rozkosznego wybryku, jakiejś moralnéj niepodległości, aby zaraz ciężko nie odpokutować za to. Tysiąc starych przesądów, które dawno już miano za pogrzebane, powstaje nagle w sumieniu jakby nadziemską wskrzeszone siłą, i te zmartwychwstałe nieboszczyki zatruwają, a często odbierają życie.

Ludwik de Camors wracał do Paryża, a bystre rumaki szybko unosiły powóz; ileż to uczuć zazdrości budził po drodze bogaty ekwipaż, i piękna, arystokratyczna postać młodzieńca! a jednak gdyby ktoś zajrzał w głąb jego duszy, i dostrzegł szarpiące ją boleści i rany, jakże prędko owa zawiść zamieniłaby się w litość. Gorzkie jakieś znudzenie, straszne zniechęcenie do życia, wstręt i pogarda samego siebie, oto uczucia jakich nie jednokrotnie doznawał p. de Camors; nigdy jednak nie opanowały go tak silnie, nie zawładnęły nim tak wszechwładnie, jak w owéj przeklętéj chwili, kiedy co prędzéj rzucał zniesławione progi starego Lescand'a. Dotąd, żaden postępek jego nie wydał mu się tak niecnym, a głęboki upadek moralny, nigdy jeszcze nie objawił mu się w całéj swéj ohydnej nagości. Czuł to dobrze, że wyrządzając tak niecną zniewagę temu przyjacielowi lat dziecinnych, towarzyszowi dni czystych i niepokalanych, jedynemu powiernikowi pięknych rojeń, i wzniosłych, pełnych szlachétnéj dumy dążeń i pragnień młodzieńczych, gwałcił najświętsze prawa boskie i ludzkie, i jak Makbet, co nietylko uspionego człowieka, ale sam sen zabił, tak i on samą poczciwość zdeptał i zabił.

Myśl ta, jak robak zgryzoty toczyła mu sumienie; nie podobna było jéj odegnać; nie wiedząc co począć co chwila zmieniał zamiary i postanowienia. To chciał zostać trapistą, to wstąpić do wojska, to nareszcie upić się i zapomnieć. Przypadek dopomógł spełnieniu ostatniego postanowienia. Wysiadając z powozu przed drzwiami klubu, p. de Camors spotkał się z chudym, wybladłym młodzieńcem, który powitał go z uśmiechem. Był to książe d'Errol:

— Cóż tu książe porabiasz? sądziłem że jesteś w Kairze.

— Właśnie ztamtąd przybywam.

— No jakże się miewasz?

— Tak sobie.

— Dobrze wyglądasz... ale, jakże ci się podobał Kair?

— Tak, nie bardzo... Ale jak dobrze że cię spotykam, doprawdy Opatrzność cię tu sprowadza.

— Tak sądzisz... Czemu, dla czego?

— Bo... no powiem zaraz... ale pierwéj opowiedz mi twoją ostatnią sprawkę.

— Jaką znowu? zapytał nieco zmięszany Camors.

— Twój pojedynek o Sarę.

— Aha... dziecińśtwo... nie ma o czem mówić... biłem się raczéj przeciw niéj niż za nią.

— Opowiedz mi proszę... jakże to było.

— Ot, mój drogi, chciałem spełnić dobry uczynek, i jak się to zwykle dzieje na świecie, zostałem za to ukarany.. Słyszałem od wielu, że ten głupiec de la Bréde, tracił posag siostry, na niespodzianki i podarunki składane u olbrzymich stóp Sary... łatwo pojmiesz że mnie to nic nie obchodziło... jednak korciło mnie coś i raz powiedziałem mu w klubie: Doprawdy źle robisz, la Bréde, trwoniąc nie tylko swój, ale co gorsza siostry twéj majątek, dla takiego żyjątka jak Sara... niecne stworzenie i w dodatku zdradza cię.

— Zdradza mnie, powtórzył, zakładając swe długie ręce,— zdradza mnie... i dla kogoż jeśli łaska?

— Dla mnie, — odrzekłem. Wie on że nigdy nie kłamię, i dla tego chciał mnie zabić... ale trudno, nie udało mu się.

— Mówiono mi żeś go ranił i skutkiem tego wpakował do łóżka na trzy miesiące?

— Najwięcéj.

— No, mój drogi, możesz teraz wielką oddać mi przysługę... przybywam jakby z dzikiéj wyspy, pojawiam się jak upiór, zapomniany lub obcy wszystkim i wszystkiemu... chciéj wrócić mnie do życia... wprowadź w jakie wesołe towarzystwo... gdzie chcesz... byle tylko składające je kobiety nie były westalkami... Taki tryb życia, jako najwłaściwszy na chorobę piersiową, zalecili mi doktorzy.

— W Kairze — wybornie — służę ci.

W godzinę potem, Ludwik de Camors i książe d'Errol, zajmowali w posiadanie piękny salon w jednéj z najpierwszych restauracji, i tam, w towarzystwie kilku mężczyzn i kobiet, ucztowali wesoło. Nie będziem opisywali swawolnéj pochulanki.

(d. c. n.)

U SIEBIE.

OBRAZEK DOMOWEGO SZCZĘŚCIA,

SKREŚLONY PRZEZ

Augustynę Stanczykiewicz.

Oto mój pokój! miejsce gdzie nieraz wśród trudów dziennych usuwam się szukać chwilami koniecznego wytchnienia. Nie jest on bogaty w zbytek i ozdoby; proste, skromne ubierają go sprzęty, i przepraszam że pozwolę sobie po kolei je wymienić.

Oto na prawo, zaraz ode drzwi wychodzących z dziecinnego pokoju, stoi dosyć wygodna i gotowa do spoczynku sofa — obok niéj krzesła, a za nią daléj komoda. U poprzecznéj ściany jest szafa do sukien, po drugiéj stronie znakomita, doborem pięknych dzieł biblioteczka, umiejętnym gustem męża mego złożona, znowu krzesła i etażerka. Pomiędzy oknami, przed którem ustawione i starannie przezemnie samą utrzymane są kwiaty, wdzięczne mi zawsze bo i w zimie kwitnące, stoi moje biórko, na którem są różne do pisania potrzeby, książka do nabożeństwa, dzwonek i inne niezbędne drobiazgi! W rogu pokoju jest fotel i stoliczek do roboty.

Nad klęcznikiem zawiesiłam prześliczny obraz bolejącej Matki Bożéj. By łzy macierzyńskiéj boleści spływające po pełnych poddania się rysach, były na zawsze dla mnie pokrzepieniem w smutkach i trudnych obowiązkach jakie mi do spełnienia na ziemi oddano. Na drugiéj stronie domu jest podobnie memu urządzony gabinet, to miejsce pracy a zarazem odpoczynku mego małżonka. W pośrodku domu znajdują się inne niezbędne dla licznéj naszéj rodziny pomieszczenia. Pokój matki mego męża, sypialne nasz i dzieci, i tak bardzo ulubiony przez dziatwę pokój jadalny, w którym kredens z przysmakami deserowemi zbierają zawsze koło siebie po skończonem jedzeniu. Najstarsze z mych czworga dzieci ma dopiero lat dziesięć, jest to chłopczyk jasny blądynek z niebieskiemi oczętami, ulubieniec ojca, mego ukochanego Franciszka.

O! drogi kątku domowy! o niebo moje! ty kryjesz w ścianach swych wszystko, czem tylko serce kobiety bogate być może — miłość synowską, miłość małżeńską, miłość rodzicielską, a oprócz świętych uczuć, żyje w tobie jeszcze jedno, zespalające w sobie wszystkie, uczucie pobożności i niewymownéj dzięki dla Stwórcy. To jako nadludzkie, wybiega w niebo, by nową ożywione rosą, powrócić tu w nasze piersi i zamieszkać w tym kółku, w którego obrębie, nieocenionym jest skarbem.

Świat cały swą pięknością zachwyca nas; jego wielka społeczność wiąże nas z sobą silnemi węzłami, które potem i nas wszystkich pochwyci w swe koło; dobrze nam z ludźmi, błogo nam w ich domach; radzi jesteśmy zachwycać się wspaniałością salonowego światła i hucznością zabaw; lubimy podróżować by oglądać dzieła sztuki, podziwiać piękność nieznanych krajów, poić się widokami, czarownéj natury; lecz—najmiléj, najrozkoszniéj gra sercu piosnka rodzinnéj ziemi, najsłodziéj przenika w duszy cisza domowéj zagrody, najmiléj sercu... *u siebie*! O! Bóg nawet chociaż jest Bogiem wszechświata, jednak *u nas* zdaje się nam, że naszym jedynie jest Bogiem, że dla nas istnieje wyłącznie. Jest coś samolubnego choć nienagannego w tem zamiłowaniu swego własnego u *siebie*. Zdaje nam się że tylko tu dla nas największe swe łaski, najlepsze dary zlać powinno niebo. Ale też to mieszkanie nasze, powinno być jakby świątynią gdzieby owe niebo przebywać mogło. W niem bowiem jak niegdyś w raju umieszcza Bóg najwznioślejsze dzieło rąk swoich—człowieka, i składa zaraz w jego sercu jakby w arce swe prawa, to jest Wolę Swą, którą mu do spełnienia przez życie poleca. W niém rzuca nasienie swych błogosławieństw, które potem nieustannie rozwija. w niém stawia aniołów dla naszéj straży. Gdy dwie osób połączone z sobą swiętym Sakramentem małżeństwa, na to, aby być przewodnikami rodziny, dobrze pojmą swe powołanie, to przez nich dary Boże jasno i szeroko zaświecą, przez nich pracowitość, zgoda, dążność do oświaty, spłynie na świat cały. Lecz trzeba aby rozsądek, uległość i spokój domowy wśród nich panowały, aby dobre wzmagało się, a złe żadnego nie miało przystępu; trzeba aby w każdéj chwili oko Boże mogło spocząć na nich, i aby obcy budowali się tym przykładem pięknych cnót domowych.

O! luby dachu nasz, pod strzechą twoją człowiek znajduje zbawienie duszy i zarody materjalnéj swéj pomyślności, jakże *cię* nie kochać, nie upiększać wszystkiemi serca przymiotami. Szczęśliwa kobieta która umie znaleźć w tobie swe niebo, i łańcuchem z kwiatów życia uwitym, omijając lub ukrywając kolące go ciernie, przywiązuje do siebie wszystkich których kocha! Szczęśliwy mąż, który znajduje rozkosz największą w domowem życiu, w słodyczach miłości swéj małżonki i rodziny; który po ciężkich trudach żywota, dążąc drogą użytecznéj i gorliwéj dla ludzkości pracy, szuka ochłody i wytchnienia na łonie domowego zacisza, z tem przekonaniem, że mu tam najprzyjemniéj, najmiléj, obok raz obranego wiernego anioła dni swoich.

O! anioł ten też wtedy, widząc odpłacane sobie szlachetną czułością zabiegi około domowego szczęścia, zdolny jest do nadludzkich poświęceń. Wysilenia te nie zdają mu się nawet zbyt ciężkiemi, choć zbierając w swe serce odwagę siostry miłosierdzia z obowiązkami żony—towarzyszki, matki—przewodniczki i córki—pocieszycielki rodziców, robią go widomą opatrznością całego rodzinnego kółka.

Przewodnicząc mu jest zarazem wzorem uległości słodyczy i pokoju.

Szczęśliwa! stokroć szczęśliwa, która miłując ciche cnoty kobiece, umie być bóstwem *u siebie*, czyniąc go najmilszym rajem na ziemi.

KILKA USTĘPÓW

z Teofila Gautier.

Barkarola.

Powiedz, piękna! a bądź szczera,
Ku jakiéj chcesz płynąć stronie?
Żagiel skrzydła rozpościera,
I przyjazny wietrzyk wionie.

Jedwabne bandery sploty,
Wiosełko z słoniowéj kości —
A rudel mój szczerozłoty, —
I żagiel śnieżnéj białości:
Anielskie skrzydło go stroi
U steru — serafin stoi.

Powiedz, piękna! a bądź szczera,
Ku jakiéj chcesz płynąć stronie?
Żagiel skrzydło rozpościera,
I przyjazny wietrzyk wionie.

Czy na Bałtyk w bursztyn hojny,
Czy na Ocean spokojny,
Czy do Jawy chcesz zawinąć?
Czy cię nęci kwiat śnieżysty
Gdzie Norwegji brzeg skalisty?
Czy po inny kwiat chcesz płynąć?

Powiedz, piękna! a bądź szczera,
Ku jakiej chcesz płynąć stronie?
Żagiel skrzydło rozpościera,
I przyjazny wietrzyk wionie.

„Wieź mnie — piękna odpowiada —
Na ten brzeg, gdzie miłość włada,
Pełna ofiar — włada stale.
— Ma luba! w kraju miłości,
Ten brzeg bajeczny stałości,
Wierzaj — nieznany jest wcale!

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

N. 5. Boże drzewko (l'Aurone ou Citronelle, *Artemisia Abrotanum*), pełen wonności aromatycznéj krzew ogrodów naszych, zwłaszcza włościańskich, pochodzący pierwotnie z wschodnio-południowéj Europy, jest symbolem zdrowia, powagi i zadowolenia. W pęku ziół, w dzień święta Wniebowzięcia N. P. do kościoła przez nasz lud do poświęcenia przynoszonych, rzadko gdzie bożego drzewka brakuje 1).

Piękna, żywa zieloność tego krzewu, drobność listeczków i ich zapach, czynią go przyjemnym wszędzie po ogrodach.

(d. c. n.)

1) Zioła te corocznie święcą d. 15 sierpnia, to jest jak się lud wyraża, w dzień Matki Boskiéj zielnéj. Składają się mniéj więcéj z następujących kwitnących i wonnych roślin: z bożego drzewka, piołunu, bylicy, wrotyczu, krwawniku, macierzanki, melissy, cząmbru, rumianu, maruszki, szałwji zwykłéj i rzymskiéj czyli tak nazywanéj od ludu piwonji (Tanacetum Balsamita); z kwitnących ale bezwonnych: z nogietków, aksamitków, jastruniów, dzwonków, kocanek, świętojańskiego ziela czyli dziurawca, malwy, ślazu, mikołajka, centurji czyli tysiącznika, hebdu, wrzosu, janowca, a niekiedy i tojadu i wreszcie z roślin z owocami lub samych, jak: z kaliny, jarzębiny, leszczyny, kruszyny, maku i białodrzewu. Zioła te uważa lud potem za bardzo ważny lek w wielu wypadkach.

— Z powodu uczynionej w Nr 158 „Kurjera Warszawskiego“ wzmianki o otworzyć się mającym magazynie wyrobów jubilerskich pod firmą Jarockiego; w domu Wgo Piotrowskiego, przy ulicy Senatorskiej podpisany widzi się w obowiązku objaśnić, że przez lat kilkanaście jeden był tylko magazyn wyrobów jubilerskich pod firmą Braci Jarockich, w domu zwanym Roeslera, że przed dwoma laty współka ta rozwiązaną została i powstał nowy magazyn pod wyłączną moją firmą: „Józef Jarocki,“ przy ulicy Senatorskiej, w domu Wgo Piotrowskiego; zaś przy magazynie, w domu zwanym Roeslera, pozostał brat, który pod swoją firmą magazyn dalej prowadzi; zakładany więc obecnie nowy magazyn w domu Wgo Piotrowskiego, obok mojego, z firmą: „Jarocki i Spółka,“ nie ma z magazynem moim żadnego stosunku i łączności, gdyż magazyn pod firmą „Józef Jarocki,“ w tymże domu i nadal prowadzonym będzie” i tak jak dotąd starać się będzie o utrzymanie zyskanego u łaskawej Publiczności zaufania, nie zrażając się bynajmniej tak forsowną konkurencją.

Józef Jarocki.

Od Redakcji. Z winy zecera zaszła pomyłka w *Dodatku* dołączonym do numeru 30 Tygodnika Mód na str. 3-éj; —*taż* stronnica wraz z 4-ą, do dzisiejszego numeru dołącza się w należytem porządku.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkuszowy dodatek z drzeworytami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)